

Valle de los Caidos - Dolina Poległych

Adam Piotrowski

Dziwna to atrakcja turystyczna, którą miejscowi niezbyt się chlubią, a część z nich w ogóle woli o niej nie rozmawiać. Miejsce, którego nie reklamują wielkie billboardy, a i tak ściąga mnóstwo zwiedzających.



Mrożące w żyłach krew historię o tej dolinie dodatkowo podgrzewają atmosferę. O tym jednak, jak to wygląda w rzeczywistości najlepiej przekonać się osobiście.

Valle de los Caídos, bo to o niej mowa, to piękna dolina w okolicach El Escorial, w której w latach 1940-1956 generał Franco kazał zbudować bazylikę, która miała być

mauzoleum ku czci ofiar hiszpańskiej wojny domowej, walczących po obu stronach frontu. Bazylikę niezwykłą, bo będącą wykutą rękoma komunistycznych więźniów w litej skale 260 metrową budowlą wraz ze 156 metrowym (dane producenta) krzyżem ustawionym ponad nią. Robotnicy, pracujący w skrajnie ciężkich warunkach, umierali często z niedożywienia i wycieńczenia.





Tak naprawdę Franco zbudował jednak mauzoleum dla siebie i założyciela partii Falange Jose Antonia. Stąd tyle kontrowersji i brak jednoznacznej oceny całej inwestycji. Musi minąć chyba trochę czasu, aż Hiszpanie się z tym wszystkim uporają. Szczerze mówiąc jednak, wszystkie wielkie dzieła ogromnych cywilizacji były budowane rękami niewolników i jakby bawić się w bojkotowanie tego typu rzeczy nikt by nie pojechał oglądać piramid w Egipcie, rzymskich budowli, muru chińskiego itd. Ba! Nie powinno się kupować towarów produkowanych obecnie w Chinach, bo większość z nich jest wytwarzana przez pracujących za głodowe stawki robotników.

Nie wdając się w filozoficzne przemyślenia zapakowałem się w Renfe Cercanias, czyli madrycką kolej podmiejską i po półtorej godziny wyglądania za okno znalazłem się z Cercedilli. I od razu miłą niespodzianka. Spotkałem trzech innych rowerzystów, którzy zaproponowali mi przejażdżkę. Ponieważ do Escorialu daleko nie miałem, bez wahania ruszyłem z nimi. Okazało się, że jeden z nich jest księdzem, a dwóch pozostałych to jacyś jego podopieczni. O szczegóły nie pytałem, co mnie to w końcu obchodzi. Rzuciłem tylko hasło Juan Pablo II, Cracovia, Wadowice, papamobile i od razu stałem się ich ziomkiem.





Chłopaki ruszyli w kierunku Puerto de la Fuerfia i od razu postraszyli mnie 12 kilometrami podjazdu. Wlekli się okropnie, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało, bo w końcu miałem do kogo otworzyć gębę. Do tej pory zawsze jeździłem sam. Przejechaliśmy przez wieś i zrobiło się na prawdę pięknie. Soczysta zieleń, szemrzące strumyki i wysokie góry dookoła. No i mega spokojna jazda. Prawdziwa sielanka.



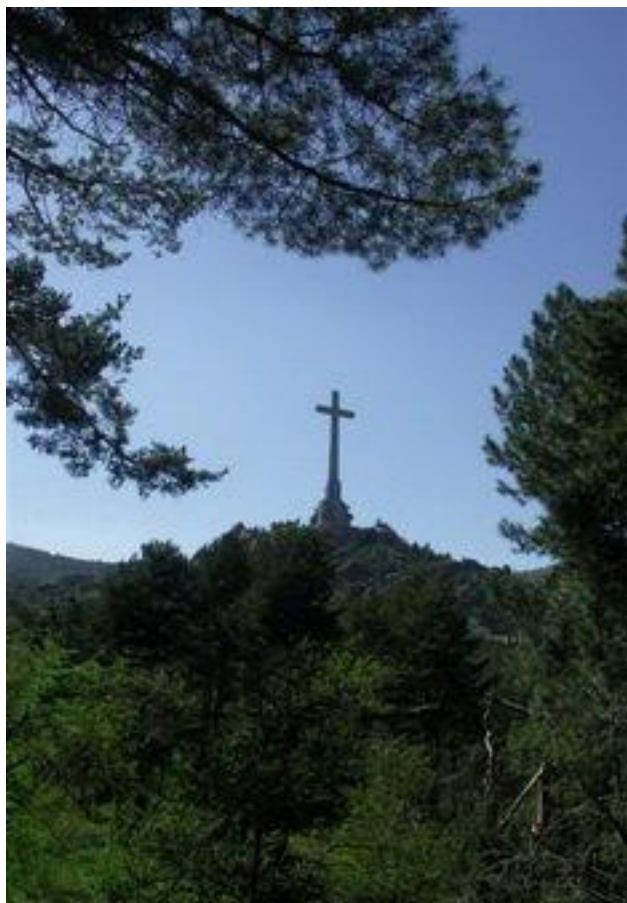
Po jakimś czasie asfalt się skończył i zastąpił go szuter. Pnąc się serpentynami do góry mogliśmy spoglądać w dół na odcinek trasy, który pokonywaliśmy kilkanaście minut wcześniej. Temperatura oscylowała ok. 30 stopni, a słońce grzało niemiłosiernie. Po drodze zaliczyliśmy jakiś punkt widokowy, ale, że czas nas naglił, a tempo było rozpaczliwe nie zatrzymywaliśmy się tam na dłużej. W końcu dotarliśmy do wspomnianego wcześniej Puerto de la Fuerfia, zrobiliśmy mały popas (kiełbasa mi tu nie smakuje więc zjadam tony tuńczyka), wymieniliśmy adresy mailowe i „Adios amigos!”.





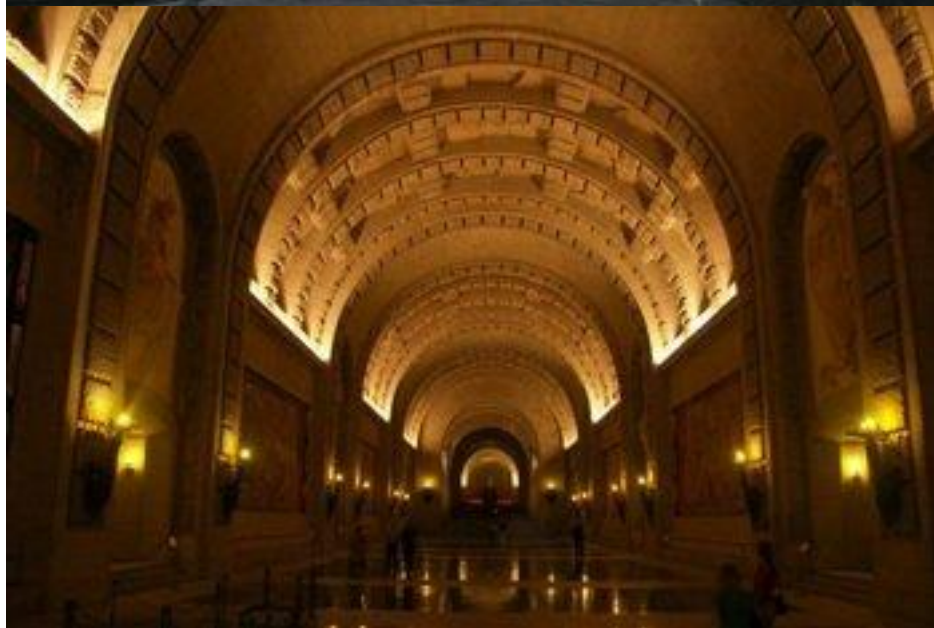
12 km w prawie 3 godziny. Trzeba było się sprężyć. Rzut oka na mapę. Jest skrót! Nie ważne, że oznaczony jako trudny. Vamos! Na początku nie było źle, później zrobiło się ciężko, kiedy droga prowadziła po skalnych stopniach, z których każdy miał tak z przynajmniej 30 cm wysokości. W końcu zaczęły się dropy – odpuściłem. Sprowadziłem kawałek roweru, bo nie chciałem ryzykować. Następna część, mimo, że trudna technicznie była już do zjechania. W końcu z lekkim bólem w nadgarstkach dotarłem do asfaltu. Szybki zjazd i już byłem w Cercedilli. W sumie 15 min. Niby krótko, ale za to jak fajnie;).

Skończyły się trudności techniczne. Przede mną został tylko asfalt. Przez Guadarramę i San Pantaleon dotarłem do skrzyżowania do Valle de los Caidos. Okazało się, że za wjazd trzeba płacić. 6 euro! Zagadałem więc panią kasjerkę, zacząłem opowiadać, że jestem studentem z Unii i że z kasą u mnie krucho i w końcu sprzedała mi bilet za 2,50... co prawda dziecięcy, ale co tam!





Do bazyliki prowadzi dość stroma betonowa droga. 6 kilometrów sztywnego podjazdu dało mi dość w kość. W końcu jednak dojechałem do ogromnego krzyża ustawionego na skale, w której znajduje się bazylika. Panuje tam dość dziwny nastrój. Porównać można go do atmosfery opuszczonych fortyfikacji z wielkich wojen. Trochę nieswojo się tam czułem, więc obskoczyłem wszystko, co było do zobaczenia i wróciłem do głównej bramy.



Czas mnie naglił, bo chciałem jeszcze zdarzyć na imprezę, więc popędziłem do El Escorial, gdzie czekał już na mnie pociąg. Zdarzyłem w ostatnim momencie, wpakowałem się do niego z rowerem i w półśnie dojechałem do Madrytu. Jak to mawia szeryf, to był „kawał dobrej roboty”. Jedno jest jednak pewne, Jeszcze tam wrócę, bo zostało mi jeszcze sporo miejsc do zobaczenia i kilka fajnych ścieżek do zaliczenia!